

Kategoria otwarta

Barbarzyńcy w ogrodzie, czyli komu bije dzwon

Oj, nie wyleci już ptaszek z Łobzowa! Ani chichotliwy dzięcioł, ani rdzawolica raszka, ani nawet pokrzewka piegża. Nie, nie najadłam się lulka i szczywół plamisty też mi nie zaszkodził. Klnę się na róg nachura, że to prawda. Ale do rzeczy. Otóż nazajutrz po walentynkach czatowałam z przyjaciółmi: Dolnołużyczaninem z Chociebuża, eks-Afganką i jej abchaskim narzeczonym, mieszkającymi w Bochum, oraz chałturzącym w Holandii niby-hażaninem, będącym tak naprawdę Mazurem z Grzegorzówek. Ustaliliśmy trasę wspólnego wojażu: od Trzycierza na Pogórzu Rożnowskim, przez Borzęta, Międzybórz i Lubrzę, aż do Chodzieży, gdzie zamierzamy wziąć udział w Międzynarodowych Chodzieskich Warsztatach Jazzowych »Cho-jazz«. Stamtąd wyskoczmy też na pewno do Łobżenicy, której uroki dopiero co zachwalano w RMF-ie.

W końcu, pożyczwszy koleżeństwu ekstrahumoru, znużona rzuciłam się w objęcia Morfeusza, gdy znienacka z zewnątrz wdarło się do mych uszu zgrzytliwe rżenie, które musiało się nieść aż po Podgórkę Tynieckie. Współpryтомna rozchyliłam zasłony z żorżety, lycry i stretchu w kolorze écri. Do szyb zdążyło przylec coś a la stężały kozuch na zwarzonym mleku. Mój wzrok wyłowił jednak cienie, wymachujących jakimiś boschami albo husqvarnami, hożych pilarzy, przerzynających wpół pień około stuipółletniej brzozy, nomen omen, płaczącej. Można by wziąć ich za chyżych chojtraków ćwiczących hopaka na Chopoku, gdyby nie konająca u ich stóp, użyteczna sobie słów wieszca, "poczciwa brzezina". Toż to himalaje barbarii.

Rzewność wszechpotężna wżarła się w moje serce. Żałość w nim zawrzała i niezamierzenie przybrała kształt quasi-elegii. Coś ty Krakowowi zrobiła, tu cytat: "brzozo-płaczko"? Po cóżes matki Polki strój przywdziała? Trzebaż ci było rżęsiłymi łzami rościć ofiary najeżdżczych ciemieżców? Byłaś przyczółkiem nadziei dla serc żądnych Polski, to święcących triumfy, to unurzanych w hańbie. Nie wyszedł ci na dobre ten układ współczulny, każący ci nie swojej poddawać się karze. I nie zabije ci na odchodne dzwon Zygmunt, a jedynie siostrzyce twe z parku Jordana zakwila żałością. Nie mogliż to ci zhardziali zasadzcy żywcem wyjętej z Schulza "ulicy Krokodyli" darować ci życia? Nie mogli u twego podnóża rozpostrzeć tafli stawu, w której jak w megalustrze pstryłyby się odbicia hojnie wyposażonych przez arcykolorystkę naturę uhli, oharów, krakw, grzywienek gżących się w trzcinach i cudokaczek? Brzozo srebrzystobiała, królowo nadwiślańskich pejzaży, ty hartowałaś dusze poetów-żołnierzy, próbujących uśmierzyć trójgłową gadzinę. Hołdy ci się należą w stulecie wiktarii (victorii). Dziś topór barbarzyńcy twą koronę strąca, skrzydlatym niebożętom rujnując gniazda.

Dość lamentów! Pora na pogróżki. Strzeżcież się, chytry inwestorzy, językowi szalbierze i łże-architekci! Wasza belle époque dobiega końca. Jeśli marszałek Piłsudski, dosiadłszy Kasztanki, w Święto Niepodległości opuści swój "niebiański Sulejówek" i obejrzy wasze pseudoparki – rzędy żelbetowych klocków spod znaku Minecrafta, budowane na trupach polskich brzóz i wierzb, to jako ten wódz Mściwój,

zrobi wam z waszych interesów taką jesień średniowiecza, że dantejskie piekło wyda się wam arkadią.

Kategoria junior

W zdrowym ciele zdrowy duch

W 1842 roku, gdy u wybrzeży Haiti szalało śmiertelne tsunami, w Królestwie Galicji i Lodomerii przyszedł na świat Henryk Jordan. Któż by o nim pamiętał, gdyby wiódł próżniaczy żywot i od rana do nocy zbijał baki? Na szczęście dla krakowian było zgoła inaczej. Chlubne życie tego wybitnego lekarza, mimo że wczas został pól sierotą, wypełnione było twórczą pracą. Z Austro-Węgier odbył podróże do Ameryki i Anglii, skąd przywiózł w bród doświadczeń. Przybył w końcu na powrót do Krakowa. Tu w 1889 roku założył pierwszy w Europie publiczny ogród zabaw i gier ruchowych. Nie szczędził własnych sił i środków, by w młodzieży rozwijać i tężyć fizyczną, i patriotyzm. Nie dożył wolnej Polski, lecz jego dzieło, znane jako park Jordana, trwa do dziś, przynosząc wytchnienie pożerającym przez smog mieszkańcom grodu Kraka. Dziś doktor Jordan, który niegdyś wprowadził gimnastykę do szkół, w grobie się przewraca, obserwując z zaświatów szerzącą się "smartwicę" (smartficę) i zdarzający się nierzadko zespół lemurzych oczu oraz przerostu kciuka u młodych Polaków. By dać odpór tym plagom i zachęcić diatwę szkolną do ruchu, pewien zażywny wuefista z Krowodrzy stworzył nowe dyscypliny sportu: bieg w podskokach przez kretówki po krakowskich Błoniach, minimaraton z przeszkodami i bez hamowania do podkrakowskiej Mogiły, sprint na wieżę mariacką w porze hejnału, trucht wkoło Smoka Wawelskiego, freestylowy megaskok wzwyż na trampolinie, siad skulny bez podpórki u stóp pomnika Dietla, przemierzanie Wisły wpław pod mostem Dębnickim, pompki pod "Adasiem", skok w dal nad rozżarzonymi węglami, trójskok nowohucki z lądowaniem w alei Róż; ponadto dla leniwych bystrzaków: rzut okiem na Wawel z kopca Kościuszki, a w Dniu Babci – rzut moherowym beretem do Smoczej Jamy. Wśród sztuk walki znalazły się: wielobój z użyciem łokci o świeżaki w Biedronce i czwórbój międzyosiedlowy w Podgórzu. Dla miłośników psów husky przewidziano wyścigi psich zaprzęgów na Azorach, a dla cyklistów – zjazd "góralem" na zabój ze Wzgórza św. Bronisławy (Wzgórza Świętej Bronisławy) lub kolarzówką ze Wzgórza Kaim. Nagrodą za wyniki ma być selfie z lajkonikiem na żądanie. A Ty, Młody Przyjacielu, nie maż się i nie każ zmuszać do ruchu. Pokażżeż, co potrafisz! Wygraj w konkursie przepiękny żółty rower, wskocz nań i popędź wzdłuż wałów Wisły do Tyńca, poczuj wiatr w nażelowanych włosach i zachłyśnij się smakiem wolności, o której nasi przodkowie mogli jedynie pomarzyć.

Autorką tekstów jest prof. dr hab. Mirosława Mycawka.